

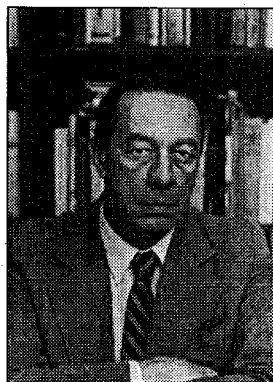
ROZMOWY O HISTORII

„Pierwsza rzecz, która pociąga mnie jako historyka, to przekonanie, że nie wie się wszystkiego”

– z Profesorem Piotrem S. Wandyczem rozmawiają Sławomir M. Nowinowski i Rafał Stobiecki*

Prowadząc badania nad różnymi aspektami dziejów, zawsze podkreślał Pan Profesor, że jest przede wszystkim historykiem dyplomacji. Kiedy i dlaczego postanowił Pan poświęcić się studiom nad tą właśnie problematyką?

Niełatwo jest znaleźć jakiś moment, od którego się to wszystko zaczęło. Wydaje mi się, że przesądziły doświadczenia II wojny światowej: znalezienie się w armii, w sytuacji emigrantów, przegrana na całej linii, *defeat in victory* (jak zatytułował swoje wspomnienia ambasador Ciechanowski) – klęska w zwycięstwie aliantów i zastanawianie się nad jej przyczynami. Sytuacja międzynarodowa odgrywała więc zasadniczą rolę. Narodziła się wtedy myśl zajęcia się planami powojennej współpracy zainicjowanej przez Sikorskiego i Beneša. Książka *Czechoslovak-Polish Confederation and the Great Powers 1940–1943* wydana w 1956 r. była pionierska w tym sensie, że nie miałem prawie wcale dostępu do archiwów. Od polskich i czeskich byłem odcięty całkowicie, natomiast z zachodnich korzystać mogłem w sposób bardzo ograniczony. Zadawałem sobie pytanie, w jakim stopniu można zbadać pewne sprawy, nie mając wglądu



* Rozmowa odbyła się 16 IX 2004 r. (podczas obrad XVII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich) w krakowskiej restauracji „Guliwer”. Tekst poddany został jedynie drobnym poprawkom stylistycznym.

we wszystkie dokumenty. Gdy dysponuje się wszystkimi źródłami, to sprawa jest oczywiście bardzo prosta i łatwa.

Reasumując: przyczyna była więc personalnie-emocjonalna, przeżrana II wojny światowej, szukanie przyczyn klęski, szukanie innych dróg, oczywiście nieprzyjmowanie uproszczonych schematów, według których Polska powinna orientować się na Związek Sowiecki.

Pierwsze prace naukowe Pana Profesora powstały, gdy żyli jeszcze uczestnicy analizowanej w nich gry dyplomatycznej. Co więcej, miał Pan możliwość nawiązania osobistego kontaktu z niektórymi z nich, m. in. z Wacławem Grzybowskim, Józefem Lipskim, Edwardem Raczyńskim, Štefanem Osuským i Hubertem Ripką. Czy zdaniem Pana Profesora stwarza to historykowi sytuację komfortową, czy raczej należałoby ją uznać za handicap?

Nie określiłbym tego jako przeszkody. Raczej jako cenny dodatek do pracy. Wydaje mi się, że tak samo z krytycyzmem podchodzi się do pamiętników, jak i do rozmów tego typu. Tak samo zakłada się z góry, że zapewne ci panowie mówią prawdę do pewnego punktu, niektóre sprawy pomijają milczeniem, a o niektórych nie chcą mówić wcale. To są te same reguły, które dotyczą wszelkich badań historycznych.

Grzybowskiego znałem najmniej, najlepiej Raczyńskiego i Lipskiego. To dawało jakiś ludzki element. Z dokumentów człowiek stara się odtwarzać osobowość danej osoby, ale w tym bardzo pomaga, jak się widzi tego kogoś, jego reakcje, odruchy itd. Dziś żałuję, że o wiele rzeczy wtedy nie spytałem, przyszły mi na myśl później. Tego się już, niestety, nie da zrobić.

Którego z dyplomatów II Rzeczypospolitej ceni Pan Profesor najbardziej?

Obecnie chyba Aleksandra Skrzyńskiego, może dlatego, że od trzech lat pracuję nad jego biografią. Właściwie mam skończoną książkę o nim. Podczas pobytu w Krakowie czynię ostatnie, rozpaczliwe wysiłki znalezienia jego papierów prywatnych, których właściwie nie ma. Pisałem przedtem o Augustście Zaleskim (*Z Piłsudskim i Sikorskim. August Zaleski minister spraw zagranicznych w latach 1926–1932 i 1939–1941*). Byłem postawiony w trochę trudnej sytuacji, którą odcyfrował bezbłędnie jeden z recenzentów. Ponieważ to pani Ewelina Zaleska udostępniła mi swoje archiwum i przyjaźnie z jej siostrzenicą, więc zmuszało mnie to do dodatkowej ostrożności. Moim zdaniem w ogóle powinna ona cechować historyka. W każdym razie nie chciałem nikomu zrobić przykrości. Mam uczucie, że niczego nie pominąłem, natomiast pewne rzeczy napisałem w takiej formie, że można między liniami przeczytać, o co tu chodzi. Zaleski i Skrzyński nie cierpieli się. To były kompletnie różne typy. W tej chwili

z większą sympatią i uznaniem odnoszę się do Skrzyńskiego niż do Zaleskiego. A Beck? Becka nie tykam... Znowu element prywatny, bo się przyjaźnię bardzo z jego synem Andrzejem. Uważam przy tym, że ogólna linia polityki Becka była słuszna, jak zresztą większość linii politycznych jego poprzedników. Nie było zresztą większego wyboru, cała dyplomacja II Rzeczypospolitej była kwadraturą koła. Czyli chodziło o to tylko, czy złymi kartami grało się troszeczkę lepiej, czy trochę gorzej, czy robiło się złe wrażenie na otoczeniu, czy lepsze. Beck robił złe wrażenie na szeregu dyplomatach. Beneš robił świetne, ale to mu nic nie pomogło w okresie Monachium.

Z wiekiem, po bardzo długim życiu, dochodzę do wniosku, że mówienie, że to coś białe, a coś czarne, jest bardzo irytujące. Pierwsza rzecz, która pociąga mnie jako historyka, to przekonanie, że nie wie się wszystkiego. Starając się uczciwie rekonstruować przeszłość, nie ma się wszystkich elementów i nigdy ich nie będzie się miało. Czyli należy być stosunkowo skromnym w ferowaniu wyroków, nie mówić: to był geniusz, to był łobuz.

Napisałem na życzenie historyków czeskich na emigracji rozdział o polityce Beneša, który dla mnie jest wyjątkowo niesympatyczną postacią. Staralem się jednak maksymalnie uczciwie go traktować, zrozumieć, jak mniej więcej funkcjonował jego sposób myślenia itd. To znowu jest kwestia pewnego temperamentu pisarskiego. Ja mam zupełnie odmienny od profesora Normana Daviesa. Zresztą on sam to kiedyś przyznał.

Po dyplomatach czas na historyków. Czy miał Pan Profesor mistrzów? Jeśli nie, to w takim razie, którzy badacze wywarli wpływ na Pana pisarstwo historyczne?

O mistrzach się nie da tutaj mówić. Zajmowałem się problematyką, która w Anglii i Ameryce właściwie była bocznym torem. Podczas studiów w Cambridge jedyny temat, który troszeczkę mnie zbliżył do dyplomacji Europy Wschodniej, jeszcze nie Środkowo-Wschodniej, to była rewolucja grecka 1821 r. Następnie, gdy pisałem rozprawę doktorską, skupiłem się nad rozwojem myśli politycznej w stosunkach międzynarodowych. Z moim promotorem, profesorem Manningim, różniliśmy się dość poważnie, nie miał więc on na mnie wielkiego wpływu.

Z historyków polskich wysoko bardzo stawiałem Oskara Haleckiego, podziwiając jego zawrotną pamięć, znajomość języków, wyuczucie. Momentami miał on wprawdzie zbyt zdecydowane poglądy na pewne tematy, ale to jest znowu kwestia temperamentu.

Osobiście bardzo mi odpowiadały książki Kukiela. Jeśli chodzi o historyków krakowskich, to należałem do tzw. klubu Wereszyckiego.

Ile razy byłem w Krakowie, spotykaliśmy się w małej grupie historyków. Ceniłem bardzo profesora Wereszyckiego, a także lubiłem i ceniłem tzw. Matysia, czyli Emanuela Mateusza Rostworowskiego.

Uprawianie historii to nie tylko wybór problematyki, ale także wybór metodologii i pewnej teorii historii. Czy można w przypadku Pana Profesora mówić o jakiś źródłach inspiracji czytelnych w Pańskiej twórczości?

To będzie bardzo trudno określić, bo ja metodologią historii, historią historiografii, historiozofią bardzo mało się zajmowałem. W swoim czasie bardzo mnie interesowali niektórzy z historiografów angielskich, m. in. Collingwood. Z jednej strony pociągały mnie studia nad filozofią historii czy metodologią historii, ale z drugiej w wielu wypadkach miałem wrażenie, że to jest to, co zarzucam socjologom: przedstawianie pewnych podstawowych prawd w niesłychanie skomplikowany sposób. Jest takie niemieckie powiedzenie, które bardzo lubię cytować: *Warum soll es einfach machen wenn es kompliziert auch geht?* – Dlaczego robić coś po prostu, jeżeli można to zrobić skomplikowanie? To mnie raczej odpychało od zbytniego teoretyzowania.

Jest to bliskie – jeśli można skomentować – tradycji anglosaskiej, która jest trochę ateoretyczna. Pan Profesor wymienił Collingwood’a, ale to na pewno nie jest taki sposób uprawiania refleksji teoretycznej nad historią, jak francuski czy niemiecki. Czy to jakoś oddziaływało na Pana Profesora?

Zgadzam się, to jest pragmatyzm anglosaski. Spośród historyków francuskich niewątpliwie wpływ na mnie wywarł Pierre Renouvin. Właściwie staram się unikać terminu „historia dyplomacji” i używać „historia stosunków międzynarodowych”, bo on rozszerzył bardzo to pojęcie. Miałem jeszcze przyjemność poznać Renouvina w ostatnich momentach działania. Pamiętam, były jakieś rozruchy na Sorbonie, kiedy z nim rozmawiałem. Nagle podszedł do okna i powiedział – „Jestem jedynym dziekanem w tej chwili na Sorbonie, muszę zobaczyć, co tam się dzieje”. Popatrzył: – „Nie, oni tylko krzyczą” – i kontynuowaliśmy rozmowę. Duroselle z kolei w pewnym momencie troszkę mnie speszył czy zraził. Gdy rozmawialiśmy na temat mojej pracy o trójkącie Francja – Polska – Czechosłowacja, powiedział: – „Tak, to ciekawe co pan robi, ale ja wolę, gdy robią to Francuzi”. Więc pomyślałem sobie: aha! Natomiast później się dowiedziałem, że w jakimś sensie Duroselle propagował i wprowadzał te dwie moje książki (*France and her Eastern Allies 1919–1925. French – Czechoslovak – Polish Relations from the Paris Peace Conference to Locarno; The Twilight of French Eastern Alliances: French – Czechoslovak – Polish Relations from Locarno to the Remilitarization of the Rhineland*)

na rynek francuski i następstwem był doktorat *honoris causa* Sorbony. Bliskie stosunki mam z Soutou, Michel'em, Vaïsse'm i całą grupą, która się wywodzi właśnie od Durosella.

Chciałbym zapytać Pana Profesora o stosunek do historiografii polskiej na uchodźstwie. Czy sądzi Pan, że staje się coraz mniej atrakcyjna poznawczo, coraz mniej inspirująca, czy można by ją zaliczyć do pewnej tradycji historiograficznej, czy wreszcie ma ona w sobie jakieś pokłady, pozwalające nam, współczesnym badaczom, do niej się odnosić?

Trudno to uogólniać, ponieważ mamy do czynienia z bardzo dużym wachlarzem szkół. Pierwsza – bardzo „staroświecka” – Poboga-Malinowskiego, będącego pogrobowcem dawnej historiografii. To, co napisał, ma niewątpliwie pewną trwałą wartość, nawet jeśli jest tendencyjne pod wieloma względami. Pochodzi bowiem od człowieka patrzącego na rzeczy z bliska. Druga – Jędrzejewicza, który starał się być maksymalnie obiektywny, choć stał się historykiem w bardzo późnym wieku. Jego książka o Piłsudskim jest w jakimś sensie skutecznym antidotum na książki Garlickiego (oczywiście w tym układzie mój faworyt to Suleja). Dalej Kukiel, poza wszystkim, choćby z racji stylu. Jego dzieje Polski porozbiorowej są pod tym względem wzorem. Z historyków następnego pokolenia wysoko oceniam Annę Cieniałę, która przeszła już na emeryturę, i z następnej generacji Andrzeja Sulimę-Kamińskiego, że wspomnę tylko dwa nazwiska, reprezentujące różne kierunki zainteresowań. Kamiński zajmuje się XVII w.

Dla mnie taką zapomnianą postacią i niedocenianą jako historyk jest Paweł Zaremba. Mam na myśli jego niedokończoną syntezę historii Polski, historię Stanów Zjednoczonych i historię Dwudziestolecia...

Tak, rzeczywiście jest on zapomniany i niedoceniany. Osobiście sam też mało znam prace Zaremby. Oczywiście, czytałem jego książkę o Dwudziestoleciu, ale nie miałem uczucia, aby tam były jakieś sformułowania specjalnie odkrywcze czy inspirujące in plus czy in minus. Niewątpliwie dla mnie interesujący jest natomiast Sukiennicki. Zwłaszcza jego dwutomowa praca o Europie Środkowo-Wschodniej (*East Central Europe during World War I: From Foreign Domination to National Independence*).

Niektórzy historycy starszej generacji zapowiadają zmierzch badań nad dziejami II Rzeczypospolitej. Zwłaszcza historia dyplomacji Polski Niepodległej jawi im się jako modelowe wręcz zagadnienie, o którym niewiele nowego uda się już powiedzieć. Z kolei wielu przedstawicieli najmłodszego pokolenia adeptów

Klio głosi konieczność dokonania reinterpretacji utrwalonych opinii. Pojawienie się w obiegu naukowym nowych źródeł z archiwów polskich, francuskich, czeskich czy sowieckich nie stanowi zresztą jedynego uzasadnienia takiej postawy.

Nawet jeśli ktoś pisze o sprawach, które, wydawałoby się, zostały już kompletnie przeorane, może nieoczekiwanie odkryć coś nowego. Jestem wielkim entuzjastą Andrzeja Nowaka i uważam jego książkę *Polska i trzy Rosje* za wyśmienitą. Wydobył on trochę nieznanymi materiałami, ale przede wszystkim zaprezentował zupełnie inne spojrzenie. Wydawałoby się, że na temat traktatu ryskiego niewiele da się już powiedzieć. Doktorat obroniony dwa lata temu przez Jerzego Borzęckiego (*A Precarious Compromise: The Territorial Settlement of the Riga Peace of 1921 in Light of Soviet and Polish Policies Toward the Borderlands*) przynosi jednak wiele ciekawych informacji. Gdybym, pisząc w latach sześćdziesiątych o stosunkach polsko-sowieckich (*Soviet-Polish Relations 1917–1921*), miał te wszystkie materiały co on, to byłbym szczęśliwy. Widzimy w ich świetle, jak Joffe kłócił się z Cziczerynem, jakie były dokładne instrukcje Lenina, jakie rozmaite zakulisowe pociągnięcia litewskie. Takich smaczków jest tam naprawdę bardzo, bardzo dużo. Każde pokolenie patrzy trochę inaczej. Interesują je inne zagadnienia, czasem ze szkoda, czasem z pożytkiem dla nauki. Zawsze też mogą pokazać się jakieś materiały, które jeśli nawet w drobnym stopniu wniosą coś nowego, to bardzo dobrze.